



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



NIESPODZIEWANA ZAPORA.

Szuka Jaguś matuli
Po dworze,
Ale nijak jej znaleźć
Nie może.

Matusz doją Krasulę
W oborze.
Ino Jaguś wejść nie śmie
Nieboże,

Bo cielaczek w drzwiach stanął
I stoi,
A odsunąć go Jaguś
Się boi.

Konkurs na roboty ręczne na str. 208.

Szósty list Janka Ł. do Redakcyi Wieczorów.

Kwiecień.

Kochani koledzy! Dotąd stawiałem zawsze datę na początku listu, bo tatko zawsze mi to zalecał. Biedny, kochany tatko! wspominałem o nim, a na każde wspomnienie serce żal sciska, gdzie tatko teraz być może? Czy zdrow, bo niewygody i tęsknota za mną, łatwo chorobę sprowadzić mogą. Sto razy pytam i sto razy opuszczam ręce zniechęcony, nikt odpowiedzi dać mi nie może. Na dnie serca tylko słyszę zawsze ten sam głos, mówi on do mnie: „Wytrwaj, synu, Bóg nas nie opuści” i głos ten krzepi mnie; chcę być dzielny jak tatko, jak Burowie, którzy walczą do ostatniej kropli krwi, a odwagi nie tracą.

— Przepraszam was, kochani koledzy, za to, że zamiast opisywać swoje przygody, mówię o tęsknocie do tatki, ale wy tam teraz gotujecie się do egzaminów i sprawicie rodzicom pociechę, a ja... a ja... Dość o tem własnem ja, wracam do początku listu. Nie napisałem daty, bo nie wiem którego dziś mamy. Zgubiłem rachunek dni, a tu, gdzie jestem obecnie, nikt kalendarza niema. Mieszkalem w różnych europejskich i nieeuropejskich domach, na okręcie, w namiocie, ale nie mieszkalem nigdy w wozie. Otóż wyobraźcie sobie, że jednak tak jest. Wóz zastępuje mnie i rodzinie właściciela dom. w nim żyją, w nim umierają trekujący Burowie. Zdaje mi się, że w pierwszym liście opisałem wam treki, czyli wędrówki Burów; to co donosiłem wtedy, dotyczyło wielkich wędrówek, kiedy naród holenderski ustępował przed Anglikami z Kaplandu do Natalu, z Natalu do Transwaalu. Gdzie teraz ustąpią Burowie jeśli lord Roberts pędzić ich będzie na północ przed sobą? Tego doprawdy nie wiem, ze wszystkich stron Transwaal otoczony angielskimi posiadłościami. Burowie wzięci są w pułapkę i nie mają już dokąd wędrować.

Trzeba wam jednak wiedzieć, koledzy, że wiele bardzo Burów żyje i dziś jeszcze życiem koczowniczych ludów, przenosząc się z miejsca na miejsce ze swemi stadami. Tacy właśnie nazywają się trekującymi Burami i mieszkają w wielkich wozach. Wóz, siedm łokci długi, a przeszło dwa łokcie szeroki — zbudowany z mocnego drzewa, na grubych, żelazem okutych kołach, pokryty jest płótnem kolorowem; każda rodzina obiera sobie kolor, kiedy więc zbierze się cała gmina trekujących Burów, to wozy ich wyglądają jak różnobarwne namioty, zwłaszcza gdy są wyprężone i woły pociągowe pasą się na trawie. Każdy taki zaprząg składa się z 12 par wołów zczepionych z sobą za pomocą długiej liny. Warszawscy dorożkarze, umiejacj wymijać się zrzeczenie wśród tłoku, i z dobrą fantazją popędzać chude konie, nie potrafiliby utrzymać w porządku długiego szeregu stepowych wołów. A jednak idą one równo bez dyszla, bez lejców, i nawet bez właściwego furmana, bo najczęściej nie jeden, ale kilku Kafirów biegnie obok zaprzęgu i popędza batami woły, wołając trek! lub awanhu! awanhu! co znaczy, że trzeba ruszać z miejsca. A wiecie jak zatrzymują Kafrowie wóz swego pana, Bura? Oto uderzają po łbie woły idące w pierwszej parze i te stają na miejscu, a za nimi wszystkie poprzedzające pary stają także.

Rozpisałem się długo o mojem obecnem mieszkaniu, sądzę jednak, że zaciekawie was życie, jakie pędzę od dwóch tygodni, to jest od chwili, kiedy udało się nam uciec z klasztoru ojców misjonarzy, a raczej z więzienia, strzeżonego przez Anglików.

Nie zapomnę nigdy tej nocy. Oddałem list do was, koledzy, ojcu Dominikowi, a choć serce biło mi niespokojnie na myśl, że zbliża się stanowcza godzina, starałem się odpowiadać przytomnie na pytania dobrego misjonarza. Wyszedł nareszcie a my z Robertem siedzieliśmy na przeciw siebie, wstrzymując oddech, nie śmiejąc spojrzeć jeden drugiemu w oczy, żeby nie wyczytać w nich potępienia za

to, co zrobiliśmy. Bo projekt podkopu wyszedł od nas, my namówiliśmy kolegów do ucieczki, a teraz oni to mieli iść na pierwszy ogień. Jeśli sztyldwach nie da się podejść, jeśli schwytają ich i rozstrzelają, bo takie jest prawo wojny!..

Wskazówka zegarka dobiegała tymczasem fatalnego kresu. Na wieży kościoła zaczęła bić północ, schwycilem Roberta i w tej samej chwili usłyszałem łoskot za drzwiami. Ach, być zamkniętym, nie móżd biedz na pomoc braciom...

Jak długo trwała niepewność? Któż wie, nam się ona wydała wiekiem, szamotanie i tupot nie ustawały na korytarzu, jakieś ciężkie ciało upadło, potem znów była chwila ciszy... i nic, nic nie zdradzało, że rozstrzygnął się los kilkunastu nieszczęśliwych.

Nagle błysnęło ostrze bagnetu w szparze drzwi. Ale to nie żołnierz szedł po jeńców, to koledzy podważali zamek żelazem. Pękł skobel; do celi wbiegło dziesięciu młodych Burów, wszyscy byli wolni i przychodzili po nas. (nasze drzwi odemknęto ostatnie) cała gromada rzuciła się ku podkopowi, bo nie było czasu do stracenia Robert Burns wszedł pierwszy do jamy, on najlepiej znał przejście, własnymi przecież wydrapał je rękami, ja miałem być ostatnim. Gdyby mnie schwytano, jako cudzoziemiec mniej może byłbym odpowiedzialny. Nie schwytano nas jednak, wszyscy dziesięciu dostaliśmy się do rzeki, wprawdzie podrapani, bo górę obrastały krzaki koleczastej mimozy, ale zdrowi i szczęśliwi.

Rzekę przebyliśmy w pław, raz omal nie poszedłem na dno, gdyż woda wezbrana jesiennymi deszczami rwiała bystrym prądem, ale Robert płynął koło mnie i pomógł wydostać się na brzeg. Coby tatko powiedział, słysząc, jak zziębnięty szczekałem zębami. Na szczęście jeden z uciekających miał z sobą trochę wódki, sprzedał nam ją Kafir, który bez zaopii, bo zaopię nazywają Negrowie wódkę, żyć nie mógł. Błogosławiłem i ja zaopię, chociaż nie pijam jej nigdy, rozgrzała mnie, może nawet uchroniła od śmierci. Szliśmy ku północo-wschodowi, kierując drogę wedle gwiazd, na czem Burowie rozumieją się doskonale, a po drodze opowiedzieli nam koledzy, jakim sposobem potrafili podejść wartę. Przekupiony Kafir zabawiał sztyldwach, strojąc śmieszne miny, żołnierz stał odwrócony od drzwi celi; skorzystali z tego dwaj Burowie i zarzucili mu na głowę siennek więzienny, wysypawszy wprzód sitowie, którym był wysłany worek. Zanim sztyldwach zdołał krzyknąć, już leżał na ziemi z głową owiniętą w płótno, a wtedy oni podważyli bagnetem drzwi sąsiednich celi, jak to zrobili i z naszą, tak że w niespełna pięć minut byliśmy wszyscy wolni. Pocztowi ojcowie stare i zardzewiałe mają zamki, bo też ubodzy są i prócz skarbów miłosierdzia, innych nie ukrywają wcale w swych mieszkaniach.

(d. n.)

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Muzyka wolniej, a z nią i ruchy tańczących. Chwytają znów ciupagi, podnoszą w górę, zaczepiają ostrzami i tańczą z niemi w koło, zwolna, jakby dla wypoczynku. Ale oto Sabala zsuwa krzaczaste brwi, błyska oczyma, ściska konwulsyjnie skrzypki i rżnie jeszcze szaleńszym rytmem. Cała gromada tańczy z większą jeszcze gwałtownością ci-

ka się i szaleje. Witkiewicz powiedział o tańczących zbójeckiego góralach, że zdają się być zębami jednego koła ecącego w najszybszym obrocie: latają w powietrzu ręce nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza w jakiś chaos, a najteższe chłopcy błędą jak trupy ze wzruszenia.

Baronet przypatrywał się z zajęciem.

— Taniec ten — powiedział — przypomina mi fantazyę arabską, którą widziałem w Tunisie, i która miłem mi pozostała wspomnieniem. Arab, gdy chce uczcić gościa, przyjmuje go zawsze fantazyą, jakby w dodatku do chleba soli. Gościłem w Algierze u pewnego szejka, posiadacza przepysznego rumaka i widziałem fantazyę nad brzegiem jeziora El-Bahira, na tle lasu kaktusów, aloesów, oliwnych drzew, cyprysów i różnorodnego kwiecia.

Dzień był piękny, mnóstwo ludzi wyległo na wybrzeże. Ukazali się dwaj jeźdźcy i rozpoczęła się fantazyja przy dźwięku tamburina i fletu, rozpoczętych jakąś dziwną, arabską melodią, tajemniczą niby, monotonna a porywająca. Synowie pustyni błędną pod wpływem tej czarodziejskiej piosenki o tajemniczej potęgze i tańczą w takt, zjednoczeni najzupełniej z rumakami. Szable i strzelby służą za kataniety czy wachlarze. Na właściwy akcent muzyczny huknie wystrzał i ptaszyna przelatująca spada na głowy, a tancerze toczą koniuni zawsze w takt, walcząc naprawdę jak w śmiertelnym pojedynku, ale z własną fantazyą tylko.

— To musi być piękny widok — wtrącił malarz, baronet mówił dalej:

— Bo choćby zaczęli spokojnie, to muzyka i taniec upaja i odurza ich i ich rumaki, jak haczysz, jak opium. To upojenie jest widoczne i wzrasta coraz bardziej, a zręczność, siła, wdzięk, zamiast wyczerpywać, potęguje się z każdą chwilą, wzrasta. Zapal dochodzi do najwyższych granic, aż jeden z tancerzy pada jak martwy na piasek, upojony czarem fantazyi. Rumak zdający się mieć w tej walce jedną duszę z jeźdźcem, pochyła się w tej chwili, aby pan jego lżej upadł, a potem stoi nad nim drgając widocznie wszystkimi mięśniami, dotyka delikatnie nozdrzami jego skroni, i drobną stopą uderza w piasek nerwowo, dopóki czary nie miną. Tłum widzów wstrzymuje oddech, a gdy błady, z płonąciami oczyma Arab powstaje, okrzyk uwielbienia wstrząsa powietrze i odrazu przywraca mu przytomność. Tancerz wskakuje na konia, trzeźwy jak wiatr pustyni i obaj z koniem, gotowi rozpocząć fantazyę na nowo. Wspólnie ze mną przypatrywał się temu, rodak wasz panowie, książę Sapieha.

— I fantazyę arabską opisał — wtrącił malarz — opis jego zgadza się zupełnie z opowiadaniem Waszej Dostojności. Książę Sapieha zamiłowanym jest podróżnikiem. Zwieździł kawał świata.

Górale zmęczeni usiedli na trawie około ogniska, a gęśliki ciągle jeszcze grały. Sabala śpiewał:

„Jaworu, jawora szerokiego liścia,
Dajże Panie Boże zbójnikowi szczęścia.

Ciemna nocka była, kiedy na zbój pošli,
Nie dał Pan Bóg szczęścia, nic my nie przynieśli.

Boże nam pomagaj i tym naszym nóżkom;
Dzisiaj powędruję ku liptowskiemu wierszkom.”

— Taniec zbójcecki, pieczary zbójceckie, skarby zbójceckie, te wyrazy objajające mi się ciągle o uszy, dowodzą, że rozbojstwo kwitło w Tatrach — mówił baronet, zwracając się do doktora — czy tak?

Doktor począł tłumaczyć różnicę między rozbojem a zbójowaniem.

— Zbójnikiem — mówił — był człowiek zręczny, piękny, odważny, dowcipny, roztropny i dobroduszny, jednym słowem bohater. Podhalanin brzydzi się rozbojnikiem, a uwielbia zbójnika.

— Aż sześć warunkowych przymiotów — wtrącił z uśmiechem Anglik.

— Zabierał bogatym, a dawał ubogim.

— Coś podobnego do dzisiejszego socjalizmu.

— Zbójnicy bywali pobożni, i idąc na zbój prosili Pana Boga o powodzenie wyprawy. Legenda mówi, że starożytny kościół w Nowym Targu, wzniesiony został rękami zbójników. Tak dbali o chwałę Bożą!

— To znów zwyczaj bandytów włoskich przypomina.

— Prawdziwymi zbójnikami byli w Tatrach najdzielniejsi młodzieńcy, synowie bogatych gazdów, bo zbijanie było przedewszystkiem junakieryą, dającą ujście młodzieńczej żądzy czynu. Waleczność ich, śmiałość, były niemal bajeczne. Nachodzili hale, wybierali daninę w serkach i baranach, urządzali wyprawy na wielkich właścicieli, rozbijali zamki, ale rzadko bywali mordercami. Zabójstwa dopuszczali się tylko we własnej obronie.

— Jak ja — pomyślał Henryk, który uczuwał jeszcze pewne skrupuły sumienia.

— Lub w razie silnego oporu ze strony napadniętego. Ale opór rzadko się zdarzał: każdy kto spojrzał na zbójnika, umierał ze strachu, tak przerażającym był jego widok z powodu uzbrojenia wielu nożami i pistoletami. Najsłynniejszym był Janosik, o którym liczne krążą piosenki i legendy. Zbójnictwo istniało jeszcze w Tatrach przed kilkudziesięciu laty, a żelazne kraty w oknach wielu domów w Zakopanem i wsiach okolicznych, datują z tych czasów. Sabala także zbójował za młodu.

— Doprawdy — zdziwił się Warburton, i nalożywszy binokle przypatrywał mu się uważnie. — No, a tenże Janosik którego pan wspominałeś? Gdzież on teraz się obraca?

— Żył za czasów Maryi Teresy. Był śmiały, zręczny, litościwy dla biednych, a pamięć jego do dziś dnia wielbią Słowacy i Podhalanie. Historia o nim upiększana w ciągu całego wieku, stała się cudowną historią tysiąca i jednej nocy. Ma ona jednak w sobie pewną dozę prawdy. W tym Janosiku łączyli górale wszystkie przymioty ciała i umysłu, góralom przypisywane. Dzieje jego życia oprócz różnych cudownych powieści, upiększono jeszcze przygodami życia wszystkich zbójników tego samego imienia.

— Pan znasz tę legendę?

— Znam. Górale w niej jaskrawo przedstawiają swoje pojęcia o zbójnikach i zbójnictwie.

— Opowiedz pan, proszę. Jestem jej bardzo ciekawy. Wyjał cygarnicę, poczęstował wszystkich i sam zapalił.

— Słuchamy — rzekł.

Doktor zaczął opowiadanie po niemiecku.

— „Raz student szedł ze szkół na wakacje do domu. Przechodząc przez wielki las, zbłądził i noc go tam zaskoczyła; nie mógł się w żaden sposób z tego boru wydostać. Wlaźł wreszcie na wysokie drzewo i patrzył na wszystkie strony, czy końca lasu nie ujrzy. Spozstrzegł w oddaleniu światelko, rzucił czapkę w tym kierunku, ażeby drogi nie zmylić; zląszy z drzewa poszedł za czapką i trafił do małej chatki. W oknie błyskało światelko i student wędrowny obaczył siedzącą w chacie staruszkę. Otworzył drzwi, wszedł do izdebki, a stara go zapytała:

— Coś ty za jeden i czego tu chcesz?

— Szedłem do domu ze szkół i zabłądziłem w lesie; proszę was, matko, przyjmijcie mnie na nocleg do waszej chatki. Nazywam się Janosik.

— Nie mogę ja ciebie przyjąć na nocleg — odrzekła stara — bo jak przyjdzie starsza moja siostra, to cię z pewnością zabije.

Poznał z tych słów staruszki, że trafił do mieszkania czarownicy; nie uląkł się jednak i odpowiedział:

— Niech się już co chce dzieje, nie odejdę stąd, jestem zmęczony i muszę tu przenocować.

Widząc czarownicę, że niema z nim rady, zawołała młodzieńca do wieczerzy, a gdy zjedli oboje, schowała go za piecem. Wkrótce wleciała oknem na miotle starsza siostra, zaczęła nosem kręcić i zawołała:

— Ej! musi tu być gdzieś człowiek schowany w chacie?

— A co! wychodź, Janosik! — wykrzyknęła młodsza; musiał więc rad nie rad wyjść z ukrycia.

— Siadaj ze mną do wieczerzy — powiedziała starsza czarownica; on zasiadł z nią do stołu, a gdy zjedli, stara rzekła:

— A teraz ruszaj ztąd, jeżeli ci życie miłe; bo jak powróci najstarsza nasza siostra, zabije cię niezawodnie.

A on i teraz się nie zatrwożył.

— Nie pójdę nigdzie i tu nocować będę — odparł, i za piec odszedł.

Przyleciała trzecia siostra najstarsza i zaraz zawołała, tak samo jak i średnia:

— Oj! gdzieś tu człowiek musi być schowany.

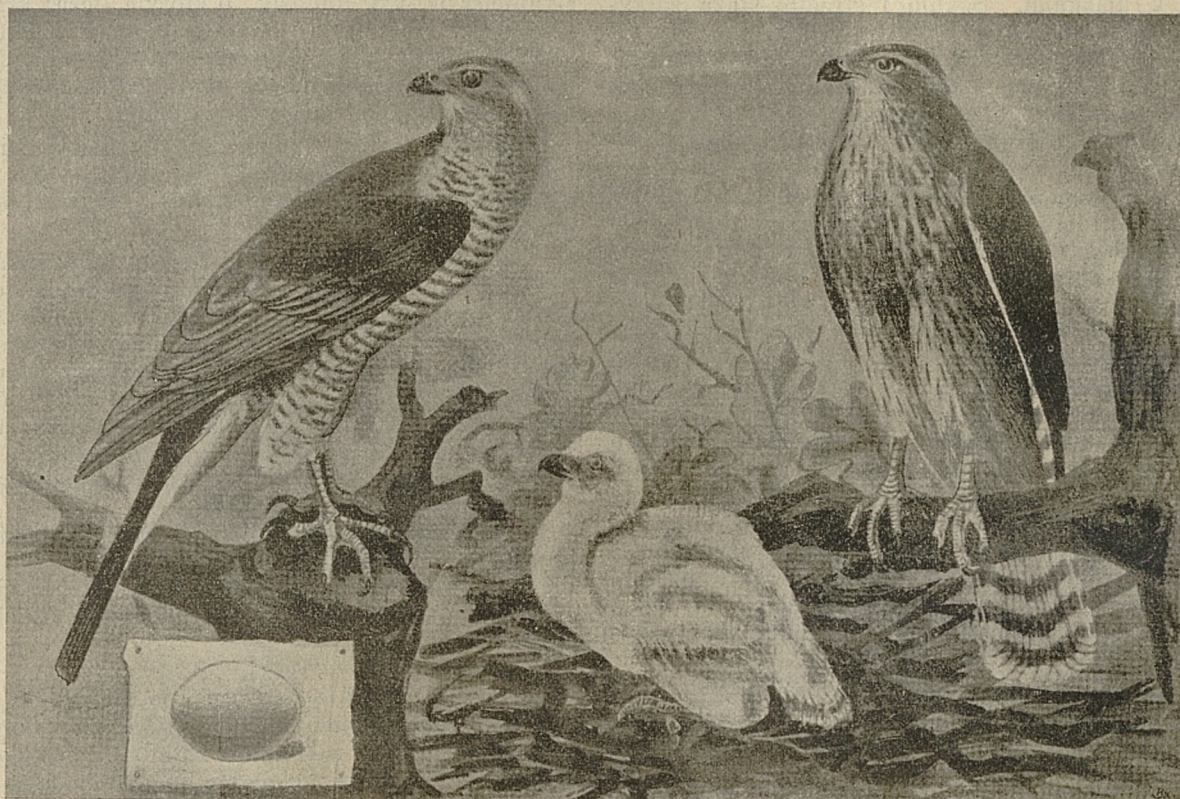
Znowu musiał Janosik wyjść ze swojej kryjówki; za-

Z dalszej rozmowy czarownicy dowiedział się Janosik, że na tej ciupadze, jak się uniesie, trzy mile prze- skoczy, a w koszuli i pasie mieć będzie nadzwyczajną siłę. Najstarsza czarownica, co koszulę mu szyć miała, z wieczo- ra zaraz zasiała na nią konopie, a na rano już i koszula była gotowa. Gdy wstał Janosik, trzy siostry oddały mu te dary, mówiąc:

— Nie będziesz ty uczonym ani księdzem, ino zbójni- kiem. Oto masz ciupagę, jak się na niej uniesiesz, to trzy mile przeskoczysz; ona cię obroni od wszelkiego nie- bezpieczeństwa. W tej koszuli i pasie będziesz miał znów siłę nadzwyczajną. Ale żebyś był zbójnikiem nad wszyst- kini zbójnikami, musisz najpierw własnego ojca zrabować.

(d. c. n.)

Jastrząb gołębiarz.



Stary ptak.

Pisklę.

Młody ptak.

prosiła go najstarsza czarownica na wieczerzę, a gdy zjadł- szczy spać się położył, one wszystkie trzy naradzać się za- częły, co z nim zrobić? Ale chłopak nie spał, udawał tylko i słyszał wszystko co mówiły.

— Połóżmy mu węgiel gorejący na żywe ciało — po- wiedziała jedna z sióstr — jeżeli ból zniesie i nie przebudzi się, to będzie z niego człek wytrzymały.

Jak rzekły, tak uczyniły: położyły mu na żywym ciele węgiel rozpalony, on się nie poruszył, ból znosił w milczeniu, póki węgiel nie zgasł. Czarownice wówczas powiedziały:

— Będzie z niego człek dzielny i wytrwały; warto, że- by został zbójnikiem, musimy go oporządzić jak należy do tego rzemiosła.

— Ja mu dam ciupagę — rzekła jedna.

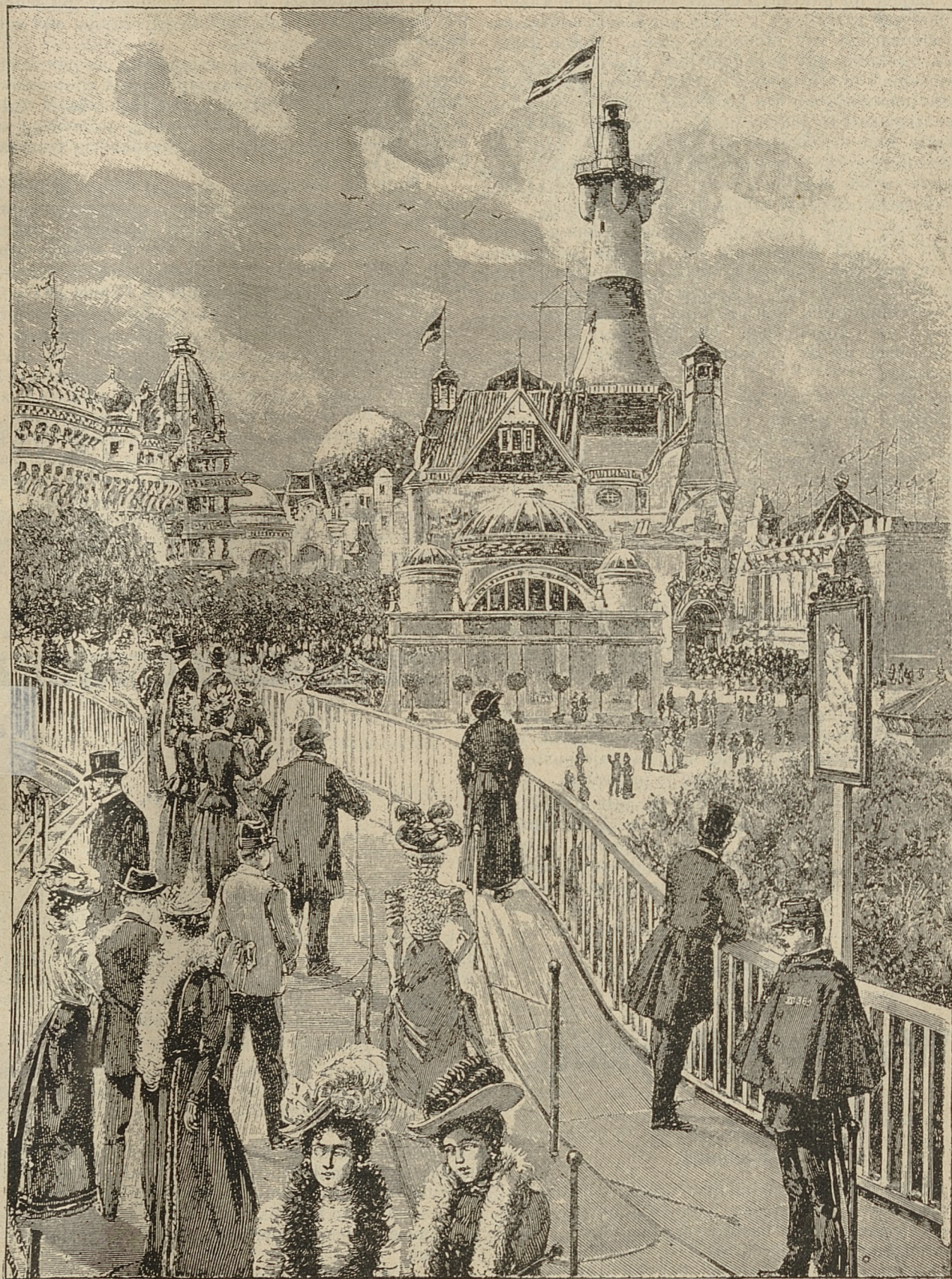
— A ja koszulę — mówiła druga.

— A ja pas — dodała trzecia.

NASZE PTAKI DRAPIEŻNE.

II. Jastrząb gołębiarz (*Astur palumbarius*).

Grupa Jastrzębi obejmuje najszkodniejsze drapieżne ptaki. Cechy ich ogólne: dziób krótki, silnie zagięty, skrzy- dla krótkie zaokrąglone, ogon długi i szeroki, palce u nóg i szpony bardzo długie. Z kilkudziesięciu gatunków ja- strzębi, rozrzuconych po różnych częściach świata, u nas, na szczęście, znajdują się tylko dwa, mianowicie *jastrząb i krogulec*. *J. Gołębiarz* dochodzi do 24 cali długości, a roz- postarte skrzydła jego mierzą około 42 cali, stary z wier- chu popielaty, od spodu białawy, z gęstymi poprzecznymi czarnymi pręgami, młody zaś z wierzchu brunatny, od spo-

Z wystawy paryskiej.

Chodnik ruchomy.

du płowy z brunatnymi kreskami w formie płomyków. Dziób siwo czarniawy, nogi jasno żółte, a oczy pomarańczowe.

Ze wszystkich naszych drapieżnych ptaków ten jest stanowczo najgorszym szkodnikiem. Niektóre gatunki, jak np. sokoły w locie tylko swą zdobycz chwytają, inne, jak myszołów, mając lot powolny i ciężki, żywią się przeważnie myszami, jastrząb przeciwnie z równą pewnością uderza na lecącego, siedzącego czy pływającego ptaka. Gołąb dziki, ścigany przez sokoła, gdy dopadnie lasu, już jest ocalony; wobec jastrzębia i to schronienie nic nie znaczy, gdyż krótkie skrzydła pozwalają mu i w lesie prześladować swą ofiarę. Oprócz tego jest to jedyny ptak, polujący w południe, gdy wszystkie inne drapieżniki odpoczywają. Na zdobycz swą napada zdradziecko, chowając się za płoły, krzaki i bułdunki, uderza zwykle ukośnie z boku. W każdej porze roku inny tryb życia prowadzi, stosownie do okoliczności.

Przez zimę i lato przebywa w lasach, gdzie gołębie dzikie, sojki i kraski dostarczają mu obfitego pokarmu; w końcu lata, gdy ptaki zaczynają odlatać, jastrząb zaczyna napady na drób, wtedy chwytając kaczki, kury i swoje gołębie. W prześladowaniu tych ostatnich daje dowody wielkiej przeczności i kombinacji. Hr. Kazimierz Wodzicki w swym pięknym dziele „o sokolnictwie” przytacza następujący przykład:

„Jastrząb ufny w swą siłę i zręczność, towarzyszył zwykle gołębiom do gumna, (dokąd na żer latały) a gdy wracały, ścigał, nie łapiąc żadnego. Dopiero gdy się już w gołębniku poukrywały, przylatywał, siadał na wystającej deszczulce i biegał bijąc skrzydłami po gołębniku. Skutek naturalny był zawsze taki, że jeden z płochliwszych gołębi, przestraszony tą hałaśliwą obławą, opuszczał swe schronienie i stawał się natychmiast łupem jastrzębia.”

W zimie łowi cietrzewie, jarząbki i kuropatwy, odważa się napadać i na zająca.

Z tego wszystkiego widzimy, ile szkody wyrządza jastrząb, słusznie więc o nim powiada O. v. Riesental: „Jeśli zamiarem Stwórcy było połączyć w jednym ptaku wszystkie mordercze, złośliwe i niebezpieczne właściwości, to znalazły one wcielenie swe w jastrzębiu.”

Gnieździ się jastrząb w lasach iglastych i liściastych, zwykle w konarach przy pniu na połowie wysokości drzewa. Najczęściej sam gniazda nie ściele, lecz zajmuje puste po myszołowach lub orlikach i po swojemu je przerabia.

Najbliższym krewniakiem jastrzębia jest o połowę prawie mniejszy krogulec (*accipiter nisus*). Z kształtów, upierzenia i obyczajów bardzo do jastrzębia podobny, żywi się drobnymi ptaszkami, jak przepiórki, drozdy, szpaki, wróble i trznadłe. Oba te gatunki zasługują na bezwzględne tępienie.

Adryan Biełkiewicz.

Z Wystawy Paryskiej.

III.

Chodnik ruchomy.

Tym razem opiszę wam jeden ze środków komunikacyjnych, urządzonych na wystawie, który dla mnie przynajmniej wydaje się niezmiernie osobliwym i dogodnym. Nie raz przy zwiedzaniu rozmaitych wystaw, pocziwie nasze nogi, które nic nie widzą, a dźwigają ciekawe oczy, narzekają na ciężką służbę i uczuciem znużenia i bólu psują przyjemność oglądania. Wynalazca ruchomego chodnika w części przynajmniej zmniejszył pracę nóg; dzięki niemu, można przenosić się z miejsca na miejsce i oglądać panoramę przepysznych gmachów stojąc, na miejscu.

Wyobraźcie sobie na przestrzeni z górą trzech wiorst na wysokości pierwszego piętra pomost, wijący się węzowo przy parkanie wystawowym, łącząc esplanadę Inwalidów z polem Marsowem. Ale nie jest to pomost zwyczajny: składa się bowiem z trzech równoległych, że tak powiem pasów. Zapłaciwszy 50 cent. wchodzimy po schodach na pas pierwszy, który jak chodnik zwyczajny, stoi sobie spokojnie i nie rusza się wcale.

Zrobiwszy krok dalej, wступujemy na pas drugi, który ciągle posuwa się naprzód z szybkością 4 kilometrów na godzinę, to jest z szybkością prędkiego chodu człowieka, a jeśli zechcemy posuwać się prędzej, to możemy wstąpić na pas trzeci, który posuwa się z szybkością tramwaju — 8 kilom. na godzinę.

Najlepiej zrozumiemy to na rycinie. Książd po prawej stronie, zaciekawiony pałacem marynarki niemieckiej, stoi na pierwszym nieruchomym pomoście, dwie panie w boa pośrodku posuwają się z wolna środkowym pomościem, a całe towarzystwo po lewej stronie — jedzie dość szybko, przypatrując się umykającym z wolna pawilonom.

Używanie tego chodnika wymaga tylko pewnej uwagi i zręczności przy przechodzeniu z jednego pomostu na drugi, co zresztą ułatwiają słupki i baryerki. Trzeba jednak wiedzieć, że chodnik ten posuwa się tylko w jednym kierunku, gdyż wstęgi ruchomych pomostów wracają nazad pod spodem. Ale kto chce wracać nazad tą samą drogą, może wsiąść do zwyczajnej kolejki elektrycznej, która kursuje obok chodnika. Nie potrzebuje chyba dodawać, że kółka, na których osadzone są ruchome pomosty porusza elektryczność. Kończę ten artykuł życzeniem, aby z czasem od placu zamkowego do parku Ujazdowskiego w Warszawie lub wzdłuż Marszałkowskiej — biegł taki ruchomy chodnik!

TESTAMENT DZIWAKA.

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— Ej! nie moja droga! Cieszę się, bo widzę cię powracającą już naprawdę do zdrowia! A potem na świecie tak dziś pięknie, słońce takie jasne, powietrze takie lekkie, takie balsamiczne, że oddychać niem aż miło. Jestem pewna, że gdyby cię to słońce majowe ogrzało, czułabyś się od razu dobrze. Ale nie! żadnych lekkoomyślnych prób, bo jeszczeby te fatalne komplikacye nadejść gotowe.

— A gdzieżes to dziś chodziła tak rano?

— Gdzie?... Byłam najpierw w naszym magazynie. Panowie Marshall i Field przysyłają codzień z zapytaniem o two zdrowie, wypadało mi raz pójść i podziękować im za tę panię.

— Dobrze zrobiłaś. — Wiecie też z ich strony uprzejmości, że nam dali ten urlop — chociaż nie wiem, jak ostatecznie się skończy, jeśli gra się przedłuży.

— Bądź o to spokojną. Zapewniali mnie dziś jeszcze, że zawsze możemy wrócić na dawne posady, skoro tylko zechcemy.

— A potem gdzie byłaś jeszcze? — zapytała znów Helena.

— Potem?...

— Nie poszłaś już nigdzie?

— A gdzie myślisz, żebym iść mogła — odpowiedziała wymijająco Jowita.

— Jeśli się nie mylę, to dziś mamy jedenasty maja...

— Tak, moja droga, i od dwóch dni powinniśmy już być w Milwaukee, jako czasowi jego goście.

— Ja nie to w tej chwili miałam na myśli, tylko, że dzisiaj przypada szóste rzucenie kości.

— Tak, bezwątpienia.

— A więc?

— Więc... Nie, nie wytrzymam dłużej! Nie chciałam ci o tem wspominać z obawy wywołania niepotrzebnego wzruszenia — ale doprawdy to nad moje siły! Bo widzisz, nigdy jeszcze w życiu nie miałam takiej zabawy, tyle uciechy...

— Powiedz-że, cóż takiego się stało?

— Wyobraź sobie, on też otrzymał dziewięć punktów, ale te fatalne, z czterech i pięciu...

— Kto taki?

— Komodor Urrican.

— Mnie się zdaje, że to bardzo dobry rezultat.

— Tak, dobry, bo od razu posuwa grającego do pięćdziesiątej trzeciej przedziałki — ale. — O, jest wielkie w tem „ale...”

— Nie rozumiem dla czego.

— Bo nasz komodor poleci na złamanie karku, na dno przepaści.

— Cóż znowu, jaka przepaść?

— A no tak, jechać musi do Florydy, pomyśl tylko, do Florydy!..

Rzeczywiście, rezultat rzucenia kości, jaki rejent Tornbrock ogłosił dnia tego, z pewnem nieukrywaniem zadowoleniem, mógłby zirytować kogoś nawet mniej gwałtownego od komodora. Toż dwa tysiące mil podróży miał przed sobą. Czyż to nie okropne! — i to na czas tak ściśle ograniczony. Jowita miała słusność. Jak wszakże sam Urrican przyjął tę wiadomość, i czy zdołał powstrzymać Turka od niestosownego znalezienia się, o tem nic już nie wiedziała, opuściwszy poprzedzającą salę Auditorium.

— No, no, będzie mu tam trochę gorąco! — powtarzała — teraz może po raz dziesiąty. — Ale dobrze mu tak, nic go nie żałuję za jego złe zamiary względem ciebie, Heleno.

— Nie trzeba być tak zawziętą, mnie go żal mimo wszystkiego...

— O, ja wiem! Ty zawsze masz słowa wytłomaczenia dla każdego. Wszystkim na świecie życzysz jak najlepiej, tylko o sobie najmniej pamiętasz — zawołała Amerykanka, udając oburzenie, któremu jednak zaprzeczył serdeczny uścisk ręki. — Ponieważ zaś już teraz ku wielkiej jej radości, chora widocznie wracała do zdrowia, więc nie mogła sobie odmówić przyjemności pozostania tuż przy niej, zastępując roztwową monologami.

A o czemże by innem mówić mogła, jeśli nie o Stanie Wisconsin, jej zdaniem najpiękniejszym, najciekawszym ze wszystkich ziem Unii. To też z „Przewodnikiem” w ręku nie zamilkła ani na chwilę i gdyby panna Nałęcz spędziła tam ostatecznie tylko parę koniecznych godzin, znałaby go już równie dobrze, jakby kilka co najmniej zamieszkała tygodni.

— Wyobraź sobie, moja miła — mówiła między innymi uwagami — że ten Stan Wisconsin, nazywał się dawniej Mesconsin od rzeki tegoż nazwiska, i że w piękności położenia niewiele da się z nim porównać. W północnej jego części podziwiać jeszcze można resztki dawnych dziewiętnastych lasów, które swego czasu pokrywały kraj cały. Są tam też źródła naftowe, bogatsze od wirginijskich.

— Wiec to do Milwaukee mamy jechać? — zapytała Polka.

— Tak, tak, do stolicy Stanu, do Milwaukee. A wiesz, co ta nazwa znaczy w języku indyjskim? Nie? Więc ci powiem. Piękny kraj. O, wyobrażam sobie, jakie o musi być ładne miasto z cienistemi alejami wzdłuż szerokich, widnych ulic. A jakie wspaniałe zdobią je gnaty,

wszystkie z białej, jak mleko cegły. Dla tego ma też jeszcze drugą nazwę, no zgadnij jaką?

— Nie wiem, Jowito.

— Nazywają je Cream City; ha, ha, ha! Miasto śmietankowe. Aż ochota bierze umaczać w niem bułeczkę!..

Oddawszy w ten sposób możliwe pochwały rzeczywiste piękności Milwaukee, którego dwakroć sto tysięczną ludność zasilają w znacznej części wychodźcy niemieccy, dla czego je również Atenami germańsko-amerykańskimi zowią — powędrowała Jowita, oczywiście w swej wyobraźni tylko, gdy w rzeczywistości nie mogła, do innych miast tego Stanu. Była więc w Madison, drugiej niejako stolicy, pobudowanej na przesmyku między jeziorami Mendota i Monona, zajęła do Fond-du-Lac, nad brzegiem rzeki Renard, na gruncie podziurawionym artezyjskimi studniami — podziwiała Eau-Claire nad przesłiznym strumieniem, zabłądziła do Baie-Verte, do zatoki Dwunastu Apostołów, a wreszcie do jeziora Dyabelskiego, najwięcej malowniczej miejscowości tego uroczego Wisconsin.

Umiejąc już na pamięć całe ustępy swego „Przewodnika,” etuzjastycznie dziewczę przedstawiało barwnie owe czasy, w których zamieszkiwały tam jeszcze dzikie plemiona indyjskie, zmuszone ostatecznie ustąpić przed kolonistami Franco-Kanadyjskimi. Tak upłynął dzień jeden i drugi.

Tymczasem dzienniki i pisma nie omieszczały zbudzić na nowo ciekawości ogólnej na dzień 13 maja, jako przeznaczony na rzucenie kości dla siódmego partnera, tej osobistości zagadkowej, ukrywającej się pod literami X. K. Z., a której napróżno usiłowano odkryć drażniącą tajemniczość.

Bezowocnemi pozostały poszukiwania nawet tych najzręczniejszych reporterów, którzy już zdobyli sobie ustaloną sławę wszystkowiedzących. Już kilkakrotnie zdawało się im, że wpadli na trop, że za chwilę uchylić zdołają zasłony i wskażą światu: „Oto ten jest!” Próżne złudzenia! X. K. Z. nie był do pochwycenia.

Badany w tym względzie rejent Tornbrock, odpowiadał krótko, że nie wie nic o nim, że ma tylko polecenie wysyłania telegramów pod tym inicjałem do miejscowości, w których mu je odbierać los przeznaczy.

Wpadano nawet na domysł, iż jest nim który z członków Klubu Dziwaków, posądzano przedewszystkiem samego prezesa Higginbothama, ale on zaprzeczył temu stanowczo.

Ostatecznie spodziewano się jeszcze, że „człowiek z maską,” tak bowiem za kimś dowcipnym nazywano teraz osobistość X. K. Z. — odpowie przynajmniej na wezwanie w sali Auditorium. Nic z tego. Z maską czy bez niej, nikt się nie przedstawił, gdy rejent Tornbrock rzucał kości, obwieścił wszystkim obecnym:

— Sześć i trzy: dziewięć. Stan Wisconsin.

Szczególne zdarzenie. Tę samą liczbę w tychże samych warunkach otrzymała już Helena Nałęcz. Przedstawiła się więc okoliczność przewidziana zasadami gry, a obowiązująca pierwszego partnera, aby opuścił daną miejscowość zanim przybędzie partner następny. W razie zaś przeciwnym, zmuszony byłby wrócić na dawne swe miejsce, co równałoby się dla Heleny Nałęczówny, rozpoczęciu gry na nowo.

— Co za fatalizm ta choroba — myśli Jowita z niewysłowioną przykrością. — Nie móżd ruszyć się z miejsca, gdy tak ważne zależą od tego rzeczy. Toż to prawdziwe męczarnie przykutego do skały Tantala!

Już Tornbrock i członkowie Klubu Dziwaków opuścili scenę, a publiczność stała jeszcze w oczekiwaniu poznania wreszcie siódmego partnera. Napróżno wszakże; jeżeli X. K. Z. był tam obecny, to widocznie nie zamyslał wcale dać się poznać.

(d. c. n.)

Konkurs na roboty ręczne

DLA PANIENEK.

„Panienci, panienci, to do was wezwanie,
Niech rozbrzmi szeroko, jak echo po łanie,
Niech igły i nici wprowadzi w ruch skory,
Gdzie tylko dziewczeczki czytają „Wieczory.”

Dorocznym zwyczajem ogłaszamy dla czytelniczek „Wieczorów Rodzinnych” konkurs na roboty ręczne, mając cel podwójny na względzie: po pierwsze — wprawę ich w robotach, których umiejętność jest nieodzowną wszystkim kobietom, a z drugiej strony — wsparcie ubogich dzieci warszawskich, bo plon konkursowy rozdajemy przed świętem Bożego Narodzenia dzieciom ze Szpitalika i ochronek, oraz niektórym znanym Redakcyi potrzebującym rodzinom.

Ogłaszamy konkurs na trzy rodzaje robót i w każdym dziale przyznamy pewną ilość nagród w książkach i odznaczeń, mając na względzie staranność i poprawność robót — a więc:

- a) Na bieliznę dzieciinną.
- b) Na sukienki i ubranka.
- c) Na roboty włóczkowe.

Przy krajaniu pomoc starszych jest dozwoloną.

Do robótek należy przypiąć kartkę ze swoim imieniem, nazwiskiem, adresem i wiekiem. Kto nie chce być wydrukowanym w sprawozdaniu z nazwiska, niech doda pseudonym.

Termin nadsyłania robót 1-go października r. b.

Adres: Mazowiecka Nr. 10. Redakcyja „Wieczorów Rodzinnych.”

N. B. Z powodu trudności przy odbiorze posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze, mieszkające zagranicą, o przysyłanie swoich robót tylko przez okazyję.

ARYTMOGRYF W KWADRATACH.

ułożyła Wignanka Dzikich pól.

	a						b				
1)	*	17	6	23	22	*	3	15	16	22	*
2)	12	*	6	6	7		20	7	4	*	7
3)	11	7	*	23	4		24	7	*	8	10
4)	26	23	3	*	7		26	*	20	23	4
5)	12	7	22	5	*		*	23	13	8	22
	c						d				
1)	5	7	10	4	*		*	15	16	3	14
2)	12	1	2	*	7		25	*	13	23	4
3)	6	7	*	8	6		2	7	*	4	7
4)	26	*	6	28	9		5	7	22	*	7
5)	*	7	4	1	13		2	17	26	15	*

Miejsca liczb w czterech kwadratach zastąpić odpowiednimi literami tak, ażeby w złożonych w ten sposób wyrazach głoski oznaczone gwiazdkami, czytane z góry na dół i z dołu na górę od lewej do prawej strony, utworzyły dwakroć powtórzony starodawny toast polski.

Znaczenie wyrazów: Kwadrat a) 1) Roślina z rodz. goździkowatych. 2) Miasto w Arabii. 3) Sławny fizyk angielski z XIII w. 4) Dawne narzędzie rolnicze. 5) Kwiat z rodz. ślazowatych.

Kwadrat b) 1) Niedorośle zwierzę z rzędu pustorogich. 2) Kraj w Europie. 3) Niewola u Turków. 4) Starożytne miasto Fenicii. 5) Owad z rzędu łuskoskrzydłych.

Kwadrat c) 1) Miasto w Bulgarii nad Dunajem. 2) Owad z rzędu błonkoskrzydłych. 3) Naczelnik Indian w połud. Ameryce. 4) Ptak z grom. drapieżnych. 5) Imię wielkiego zdobywcy duńskiego z XI w.

Kwadrat d) 1) dawna broń obosieczna. 2) Odmiana węża boa. 3) Miasto w Afganistanie. 4) Księstwo w Anglii. 5) Pisklątka z rodz. pletwonogich.

ROZWIĄZANIA DO N-rn 24-go.

Szarady: Wier — ny — ko — le — ga.

Z ŻARTÓW NIEMIECKICH.

- Uważaj, chłopcze! dwa koty i trzy koty, ile to będzie?
- Pięć kotów.
- Dobrze, a kot, robak i wróbel ile uczynią razem?
- Jednego kota.
- Jakto?
- A no, wróbel zje robaka, kot — wróbla i zostanie sam kot.

G. Szyler. Senatorska 10 poleca, piękne karty pocztowe wydane na pamiątkę Wielkiego Jubileuszu w Rzymie.

Wydawnictwa religijne ks. M. Godlewskiego.

Znaczenie pracy w świetle wiary. (kop. 20)

Obrazy symboliczne człowieka grzesznego, usprawiedliwionego i uświęconego.

Gniew Boży. Powieść.

Jezus, Marya, Józef, książka do nabożeństwa (w zwyczaj. oprawkach od 60 k. do 1 r.)

Praktyczny rachunek sumienia kop. 3.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRZĘSC: Niespodziewana zapała, wierszyk (z ryc.) — Szósty list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Róża bez kółów, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Nasze ptaki drapieżne (z ryc.) — Z wystawy paryskiej (z ryc.) Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Konkurs na roboty ręczne dla pańienek. — Łamigłówka i rozwiązania. — Z żartów niemieckich. — Dodatek: Panna Powidłańska (z ryc.) — Sen próżniaka, dyalog wierszem przez Władysławę Izdebską. — Riki-tiki, bohater dżungli indyjskich, opracowała A. Skibniewska. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

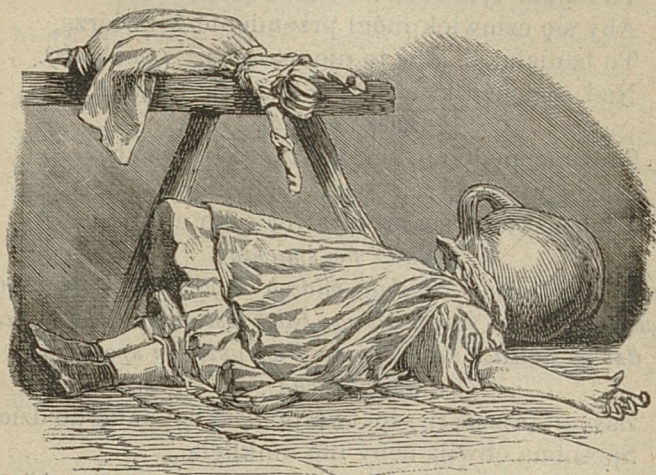
Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 10 Іюня 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Ballńska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Panna Powidłańska.

III.

Chcę krzycheć, powidła duszą, ledwie dyszeć mogę, niemięj trwodze, nieszczęsna, padam na podłogę. W ko-
mnie śmiech słyszę, okrzyki, wołanie: To głos mamy,
ecz prócz niej panowie i panie. Podnoszą mnie z podłó-
i, odkrywają głowę, oglądają twarz, włosy: — były da-
niej płowe; teraz czarne kosmyki kapią powidłami, ja
wstydu okropnego zalewam się łzami. Łzy zmieszane
tą czarną powidlaną masą, zdobią mnie — łatwo zga-
nać — nadzwyczajną krasą. Chciałabym pod ziemią
kryć się głęboko! A tu tylu osobom stanąć oko w oko,
widzieć rozśmieszone wszystkich gości miny, łzy żalu
w oczach mamy, strapienie rodziny. Wsadzono do ką-
ieli łakomą małą i wymyto starannie od stóp do
głów całą. Odtąd lat jakie cztery i wielcy i mali, wszy-
cy łakomą pannę „Powidłańską” zwali. Ale brzydka
przygoda to dobre sprawiła, że twa ciocia już nigdy łako-
mą nie była. I ty masz różne wady, popracuj nad niemi,
dobra wola w cnotę te przywary zmieni. Pamiętając



na cioci przygodę niemiłą, popraw się, dziecię moje —
popraw własną siłą.

SEN LENIWEGO PIOTRUSIA.

Dyalog wierszem

p. Władysławę Izdebską.

(Dokończenie).

Piotruś.

Nie! lecz posłuchaj... posłuchaj!... Ja śniłem,
(przystępuje do Julka i mówi z trwogą, tajemniczo).
Że osła głowa z szyi mi wyrosła...
Żem Julku... żem... żem...

(rzucając się z płaczem w objęcia Julka).

Przemienił się... (z okrzykiem rozpacz).

W osła! (ociera łzy).

Powiedz, czy można żyć przy takiej głowie?
Być wpół Piotrusiem... a osłem w polowie!

Julka (wstrzymując śmiech).

Brr! sen okropny!... straszliwy zaiste,
Mnie nawet ciarki przechodzą siarczyste...
Wszakże się nie martw...

Piotruś (płaczliwie).

Ach! kto sen miał taki...

Julka.

Sen, mówią, nie wart jest niucha tabaki!

Piotruś.

A mówią przecie... we śnie prawda leży...

Julka.

A ja ci mówię: głupi, kto w sny wierzy!
Zresztą od ciebie to teraz zawisło,
By się spełniło to... lub jak mgła prysło.

Piotruś.

Jakto?

Julek.

Gdy zajmiesz się czemś mądrym, wzniosłem,
Zapomnisz o tem, że... *(śmiej się)*.

Że byłeś osem!

Piotruś *(ziewa siadając na krześle)*.

E! muszę spocząć...

Julek.

Ja siadam do pracy...

(rozkładu kajeta, książki na drugim stoliku, i siada zwrócony plecami do Piotrusia).

Piotruś *(wół leżąc na krześle)*.

Niechaj się uczą głupcy i prostacy!

Julek *(pisząc w kajecie)*.

Ej! bo łeb ośli może wrość w ramiona...

Piotruś.

To bajka! tylko sen... i rzecz skończona!
Aby się człowiek mógł przemienić w zwierzę,
To banialuka! ja w to nie uwierzę. *(po chwili)*.
Nie! nie! nad książką nie będę się męczył...

Julek *(pisząc)*.

To znów podobny sen będzie cię dręczył,
A co straszniejsza... och... och! nie daj Boże!
W rzeczywistości on sprawdzić się może.

(ogląda się, śmiejąc).

(Chwila milczenia. Słychać oddech Piotrusia, który zasnął z pochylony, przez poręcz głowę. Julek wstawszy cicho, podchodzi na palcach ku śpiącemu Piotrusiowi i spogląda).

Julek *(z cicha)*.

Zasnął! *(śmiej się)* śpi twardo... Więc dalej do dzieła,
Sposobna chwila żeby nie umknęła...

(Stawia lusterko na stoliku przed uspijonym, a potem biegnie, schyla się pod swój stolik nakryty serwetą, i dobywa stamtąd oślą głowę zrobioną z tektury, z otworami na oczy i stojącymi w górę uszami. Niesie ją cicho ku śpiącemu Piotrusiowi).

Julek *(z cicha niosąc oślą głowę)*.

On nie wie o tem... zrobiona od wczora,
Na polecenie korepetytora.

(Śmiej się, i wsuwa lekko tekturową głowę na kark śpiącemu Piotrusiowi, poczem umyka szybko i kryje się pod swój stolik).

Piotruś *(budząc się nagle, maca ręką po głowie i szyi)*.

Co to jest? skóra jakaś... Wielki Boże!

Miałbyż sen sprawdzić się? To być nie może!...

(spogląda w lusterko).

Tak! ośla głowa!... *(szarpie się i odjąć usiłuje)*.

Och!... wrosła mi w szyję!...

(woła rozpaczliwie).

Ratunku ludzie!... Na pomoc!... kto żyje!...

(Julek podczas wołania Piotrusia wysuwa się z pod stołu).

Julek *(podchodząc)*.

Czego tak krzyczysz?

(śmiej się spostrzegłszy niby dopiero oślą głowę).

Ach!

Piotruś *(przyskakując rozszoszczony)*.

To ty nikczemny!...

Julek *(wybuchając śmiechem)*.

Ha! ha! ha! sen twój więc nie był daremny,
Ach! cóżbym nie dał... gdyby weszła Kocia...

Piotruś *(tupiąc gniewnie nogami)*.

Zdejmuj!...

(Słychać w przyległym pokoju skoczną polkę graną na fortepianie).

Julek.

O! jak wesoło przygrywa nam ciocia...

Dalej!

(chwytą gwałtem Piotrusia i tańcuje z nim przyspiewując)

Piotruś *(wyrwawszy mu się)*.

Precz niegodziwcze!... *(szarpie się, chce zdjąć głowę)*

Ach! jak w kleszczach trzyma!

Julek *(śmiejąc się)*.

Ha! głowa wrosła... w szyję... rady niema!

Piotruś *(płaczliwie)*.

Zdejmuj! słyszałeś? Och! jakże się trwożę...

Julku... przez litość!... bo nadejść kto może!

Julek *(przystępując)*.

A będziesz uczył się?... nie będziesz tchórzem?

Piotruś.

Już nic nie powiem o psotach ze stróżem...

Będę pracował gorliwie i pilnie.

Julek *(zdejmuje zeń oślą głowę)*.

Przyrzekasz mi to?

Piotruś *(podając mu rękę)*.

Święcie... nieomylnie.

(Julek zdejmując mu oślą głowę).

Piotruś *(siadając na krzeselku)*.

Jakżem zmęczony... oddychać nie mogę!

Julek.

Ja ci w twych trudach chętnie dopomogę,

Nie będą cię już w snach udęczać mary,

One zapewne są rodzajem kary

Za obowiązków swe lekceważenie.

Spać ci nie daje twe własne sumienie.

Piotruś.

Masz słuszność! innym odtąd będę stale,

Precz! precz! z lenistwem, pracujmy wytrwale.

Julek.

Zacznij się dla nas era życia nowa.

(śmiej się, wskazując na tekturową głowę)

Ot! co zdziałała jedna ośla głowa!

Riki-tiki.

(Dalszy ciąg).

— Pogromca węzów? prawda; tytuł ten słusznie ci się należy. Ale czy wiesz, że, kto jaką bronią wojuje, od takiej i ginie — mówił Chuchundra, jeszcze bardziej ponurym głosem niż zwykle. — Kto walczy z węzami, może zginąć od ich jadu. Ach, Riki! obecność twoja tu w tym domu i w inny sposób jest dla mnie groźną. Jakżeż łatwo Hag w ciemności może się pomylić i mnie kiedy wziąć za ciebie.

— Nie miej najmniejszej o to obawy! — odpowiedział obrażony Riki — to zupełnie rzecz niemożliwa, by nas kto miał nie rozróżnić. Przytem Hag mieszka w ogrodzie, a ty nie masz odwagi nosa z poza czterech ścian domu wyściobić.

— Mój kuzyn, Chna, szczur polny, mówił mi — rozpoczął Chuchundra i nagle przerwał.

— Cóż ci mówił takiego? czemu nie kończysz?

— Pst! cicho! nie już nie powiem. Hag mógłby mnie podsłuchać. Pamiętaj tylko, że Hag wszędzie do stać się potrafi. A teraz idź do mego kuzynka, on ci dużo pożytecznych wiadomości udzieli.

— Gdzież go po nocy szukać będę? Ani myślę. No, prędzej Chuchundra, dokończ, coś zaczął, bo inaczej...

Ale Chuchundra przysiadł ku ziemi i płakał tak rzewnie, aż mu łzy spływały po wąsach.

— Jestem biedne stare stworzenie — rzekł łkając — nikomu nic nie zawiniłem. Nie mam nawet na tyle odwagi, żeby z mego ukrycia wyjść na środek pokoju, a ty chcesz, żebym ci takie okropności opowiadał. Pst!... cicho!... czy słyszysz, Riki?...

Riki-tiki nadstawił ucha. Cisza była wokoło, dom cały spoczywał w uśpieniu; lecz nie — jakiś szmer słychać, niewyraźny... cichutki... jakby przebieganie nóżek pszczoły po szybie okna! Skrob... skrob... to suchy szelest łuskowatej skóry węża po ceglanej podłodze.

— Aha! — pomyślał Riki. — To Hag, albo Hagajna! Niegodziwcy, już do domu zachciało wam się zaglądać! Domyślam się, że to wzdłuż rury wodociągowej wpelzacie do łazienki. Poczekajcie, dam ja wam porządną nauczkę! Do widzenia Chuchundra, kładź ty się spać, jeszcze daleko do ranka — i bądź spokojnej myśli, ja, Riki, czuwam.

Ostrożnie, wstrzymując oddech, zajrzał Riki do pokoju Henrysia, ale tam nic podejrzenia jego nie zbudziło, więc przez korytarz wśliznął się do łazienki jego rodziców.

Przed paru dniami zaledwie usunięto właśnie w zewnętrznej ścianie łazienki u samego dołu parę cegieł, ażeby tym otworem woda odpływała. Blisko tego miejsca Riki się przyczaił i posłyszał jak Hag i Hagajna za ścianą, przy świetle księżycy rozmawiali.

— Gdy dom opustoszeje — szeptała Hagajna do męża — wtedy i on się wyniesie, i ogród będzie znowu naszą tylko własnością. Idźże więc uważnie i pamiętaj, że musisz, musisz ugryźć tego wysokiego człowieka, co Karaita kijem dobijał. Jak to uczynisz, wracaj natychmiast do mnie, a wtedy we dwoje już weźmiemy się do mungosa.

— Ale czy jesteś pewna, że to będzie dla nas z jakąkolwiek korzyścią, jeśli ludzi pozabijamy?

— Bez żadnej wątpliwości! Już ja to dobrze wszystko obmyślam. Dopóki dom ten stał niezamieszkały, czyśmy mieli tego utrapionego mungosa w ogrodzie? Onie! byliśmy wtedy jego panami, królem i królową! Nikt nam nie groził, z całą swobodą używaliśmy życia! Zresztą pamiętaj, że najdalej jutro nasze małe z jaj wykluwać się będą, potrzebują one spokoju i bezpiecznej, obszernej przestrzeni do zabawy. Za wszelką cenę musimy się pozbyć tego wroga, inaczej nie mielibyśmy chwili spokoju.

— Masz słuszność! Jaką ja mam głowę, że o tem wszystkim nie pomyślał — odpowiedział Hag. — Już idę. Ugryzę najprzód męża, potem żonę, a w końcu i dziecko, jeśli zdąży. Wtedy już nie będziemy potrzebowali troszczyć się o mungosa, Riki wyniesie się ztąd własnym kosztem, obejdzie się bez naszego trudu i narażania się.

Słyszając te słowa, Riki drżał cały ze wstrzymywanej wściekłości. A tu przez ten sam otwór wsuwa się straszna głowa Haga, a za nią pięć stóp długie, zimne jego ciało, wślizguje się potrochu.

Pomimo całej swej zapalczywości Riki aż zdrętwiał z przestachu, widząc tuż przed sobą to olbrzymie szkaradne stworzenie.

Hag skreślił się w kółko, tylko głowę podniósł i rozglądał się po łazience, a jego złe oczy błyszczały i świeciły, jak dwa rozżarzone węgle wśród otaczającej ciemności.

— Jeśli się teraz na niego rzucę — rozważał Riki — Hagajna przybiegnie z pomocą. Zwlekać też jest niedobre, bo on tymczasem może wykonać chociaż część swego strasznego zamiaru.

Hag przez długą chwilę kołysał się tylko w prawo i lewo, jakby dla namysłu; potem zajrzał do dzbanka, który stał obok wanny i napił się z niego chciwie wody.

— Ten wysoki pan miał kij przy sobie — zasyczał, nasyciwszy pragnienie — kij, którym karaita bił i pewnie go trzyma przy łóżku dla obrony, ale z pewnością nie weźmie go z sobą, gdy jutro rano przyjdzie się kąpać. — Poczekam tu sobie spokojnie do ranka. — Hagajna, czy słyszysz? tu w chłodzie czatować będę do świtu.

Ale odpowiedzi nie było żadnej. Żaden głos nie przerwał ciszy nocnej, widać Hagajna już odeszła jaj swoich pilnować. Hag zwinął się tym razem około szyi dzbanka a Riki stał wciąż w milczeniu, oddech tamując, aż skóra na nim zdrętwiała.

Po godzinnej nieruchomości Riki zaczął potroszku naprzód się wysuwać. Hag był uśpiony. Riki przyglądał się uważnie olbrzysmu gadowi, zastanawiając się, w którym punkcie najlepiej go zaczepić.

(d. c. n.)

GRA W KUPCA I OWCE.

Główną rolę w tej grze mają trzy osoby: kupiec, pastuch i baran. Baran staje na czele reszty grających, t. j. owiec i siada z niemi na ziemi.

Kupiec podchodzi do owczarza i prosi, żeby mu sprzedał owce; następnie zbliża się do stada, podnosi każdą owcę za ręce, żeby dowiedzieć się niby, czy dużo waży. Wtedy umawia się o cenę każdej i odchodzi, obiecując wrócić natychmiast. Późem owczarz zabiera owce i prowadzi je do owczarni.

Owczarnia mieści się w dużym kwadracie, narysowanym na ziemi. Owce trzymają się wszystkie razem w jednym kącie, baran stoi w środku, a owczarz przed owczarnią.

Kupiec przychodzi znowu do owczarni, płaci mu cenę umówioną i prosi o wydanie owiec, na co odpowiada mu owczarz, żeby sam je sobie zabrał. Kupiec zbliża się do owiec, ale napotyka barana, który mu zagradza drogę. Kiedy kupiec zwraca się w prawo, owce stojące sznurem za baranem uciekają na lewo, zawsze zasłaniane przez barana.

Kupiec ma prawo zabierać kolejno ostatnią z szeregu, musi więc tak zręcznie się zwiijać, aby ostatnie z sze-

regu owieczki, biegając szybko to w tę to w drugą stronę, nie były zasłonięte przez barana; wtedy rzucić się może niespodzianie i złapać ostatnią, gdy ją pochwyci, złapana opuszcza szereg i idzie do domu kupca.

Gra się kończy, gdy wszystkie lub większa część owiec zostanie złapana.

Złowione owce składają fanty, które zbiera i sędzi później owczarz.

Marya Weryho.

SZARADA.

Drugie i trzecie
Jak chcecie,
Albo to będzie
Narzędzie,
Albo gdy macie
Ochotę,
To je uznacie za cnotę.
Pierwsze — okrągłe,
Trzy razem
Braku są zawsze
Obrazem.

ZAGADKA.

dla Mewy z nad Noteci od Frani Kom.

Jestem czapki rodzajem,
I w Afryce krajem.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

od Chochlika dla Lilli Wenedy.

* Zastąpić kropki literami tak, aby rzędy
* oznaczone krzyżykami złożyły nazwę
* cieśniny w Europie. 1) Samo-
* głoska. 2) Miejsce, gdzie się
* przeciwne prądy wody spo-
* tykają. 3) Moneta ruska.
* 4) Miasto w Lombardii. 5)
* 6) Wyspy na morzu Egejskim.
* 7) Góry w Europie. 8) Kwiat z rodz.
* krzyżowych. 9) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 24-go.

Szarady: Pa — ryż.

Arytmogryfu:

1) Wierzb. 2) Alpy. 3) Rak. 4) Sahara. 3) Zięba. 6) Astra.
7) Welna. 8) Arab.

Warszawa.



Skrzynka do listów.

Pani H. M. Za przyslaną komedijkę dziękujemy i niebawem postaramy się zużytkować.

Błędny Ognik z P. obdarzył nas bardzo miłym i ciekawym listem. Każdy, stawający do konkursu na wypracowania, może opracować dwa, a nawet wszystkie trzy temata, jeżeli ma dość chęci i zdolności. Pamiętajmy ciebie z dawnych konkursów.

Logogryf Sfinksa przejrzymy, pseudonimu K. Z nie znamy.

Burzliwej Naturze. Wierzyk spoczął nie w koszu, lecz w tece pamiątkowej, bo nie zapominamy od kogo pochodzi. Do druku się nie nadaje; radzimy ci wziąć się gorliwie do prozy, niewiązaną mową bowiem piszesz bardzo dobrze, lepiej więc w tym kierunku rozwijać swe zdolności. Jaskółka za pamięć dziękuje i zapytuje o powód długiego milczenia.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Sfinks, Gustawa Dobr., Konwalijska, Władzia z Marywilą, Malina, Orzeł z Mazowsza, Kukutka Skowronek i Romcia z Podola.

Na kolonie Letnie złożyli: Skoczka z Chylina sukienkę, Biały Kruk—80 kop., Regina Römerówna—2 rub., M. K.—3 rub., Romeia z P. 20 kop.

Dla biednych dzieci od Wandyka 1 rub., od C. R. 1 rub.

Przypominamy, że jeszcze wiele dzieci, potrzebujących wyjechać do kolonii letnich, czeka z obawą i nadzieją, czy towarzystwo zbierze dostateczne środki.

List Wandyka przez nieporozumienie czekał dłużej niż zwykle na odpowiedź, a tyś mnie może o zapomnienie posądził? Ofiarę dla biednych dzieci złożyłam w Redakcyi. Życzę ci wesołych wakacji i dobrej zabawy z Alcią.

Śnieżycy. Dziękuję ci bardzo za nowy dowód twojej serdecznej pamięci, z rozrzewnieniem czytałam słowa twego listu, pojmuję, droga moja, twój ciągle smutek po wielkiej stracie i rozumiem, że nawet piękną przyrodą w całym jej blasku i rozkwicie cieszyć się nie możesz jak lat zeszłych, bo drogi ojciec radości twojej nie podziela. W modlitwie, wypełnianiu obowiązków i pocieszaniu mamy możesz tylko znaleźć pociechę i zadowolenie. Jurasiovi za pozdrowienia dziękuję.

Romci z Podola za ładne kartki podziękuję widokami Warszawy. Łamigłówni naszych czytelników, o ile są dobre i odpowiedzi, drukujemy mniej więcej kolejno zupełnie bezinteresownie, przeto przysłane ponad cenę książki i przesyłki poczt. 20 kop. oddałam na Kolonie Letnie.

Niezapominajki piękną myśl najzupełniej pochwalam, ale pomocną być nie mogę; do blizkich sobie, rodziców lub kogo z krewnych zwróć się po radę. Jestem przekonana, że wakacje te spędzisz przyjemnie i pożytecznie, donieś mi o tem.

Bardzo żałuję, że Orzeł z Mazowsza nie przysłał mi fotografii swej rodziny, pragnęłabym bardzo poznać cię i Rybitwę. Ale mam nadzieję, że co się odwleczło, to nie uciecze i że mi ją przyslesz jak najprędzej, a choć wyjeżdżam już wkrótce, Redakcja odsyła mi listy, więc pod zwykłym adresem możesz pisać do mnie. Gdy jesteś tak uprzejmy i chcesz mi ofiarować parę gołębi po wakacjach to przyjmę je z wdzięcznością, może uda mi się chować je w mieszkaniu. Obie szkoły, o które zapytujesz, są równie dobre, tylko w innym kierunku. Rybitwie z nad Wisły za małą karteczkę wdzięczną jestem i pamięci waszej się polecam.

Z prawdziwym wzruszeniem przeczytałam twój długi list, Orle pachole, tak z powodu szlachetnych myśli, w nim zamieszczonych, które świadczą o dzielnym i prawym charakterze, jak i z powodu tak głębokiego poczucia wdzięczności i uznania dla rodziców. Młodzież na ogół kocha niezmiernie te najdroższe dla niej istoty, ale nie zawsze, tak jak ty, rozumie i zdaje sobie dokładnie sprawę z tych trudów, poświęceń i skarbów miłości, które dzieciom swym udzielają. Donoś proszę o dalszych swych losach

Życzliwej wam wszystkim

Jaskółce.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na „Wieczory Rodzine,” które w kwartale trzecim wychodzić będą pod temi samymi warunkami.